

Anna Sakowicz

Skrzydlate książki



Ilustracje
Ewa Beniak-Haremska



Poradnia K





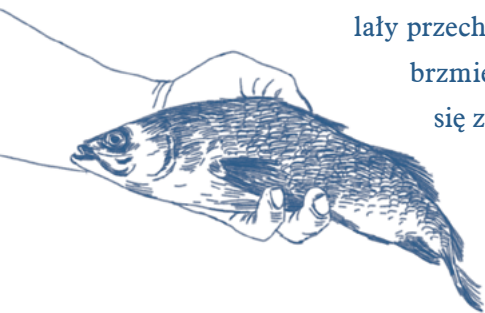
ROZDZIAŁ 1 DZIWNE PTAKI

6 Czasami dzieciom wydawało się, że handlarka jest posągiem. Stała z koszykiem wypełnionym owocami i wyciągała przed siebie pomarszczoną dłoń. Rzadko kiedy coś mówiła, a jej usta niemal nigdy się nie poruszały. Tylko wtedy, gdy od strony morza wiał chłodny wiatr, tak jak tego dnia, trzęsła się niczym osika. Owinięta szczelnie wełnianą chustą poprawiała biały czepek na głowie, a z jej nieruchomych ust wydobył się cichy głos:

— Owoce! Świeżutkie owoce!

Jakby słowa miały ją ogrzać i ochronić przed zimnem, które nastąpiło nagle w środku lata, choć jeszcze dwa dni wcześniej można się było spiec na raka, leżąc na plaży.

Dzieci przebiegły obok staruszki i pognały w kierunku Motławy. Klara i Dawid mieszkali niedaleko stąd i uwielbiali spędzać ze sobą czas. A rzeka zawsze przyciągała młodych ludzi żądnych przygód. Już z daleka czuli zapach ryb, które handlarki, opatulone w chusty i kilka warstw spódnic, zachwalały przechodniom. Ich melodyjne głosy rozbrzmiewały nad rzeką. Niektóre kłóciły się z klientami.



— Otworzy paniusia oczęta i spojrzy, jaka piękna flundra¹, a nie mi tu wybrzydza i kłapie jadaczką po próżnicy, klientów straszy! — Kobieta wzięła do ręki dwie ryby i zaczęła machać nimi przed nosem niezdecydowanej klientki. — Śliczniutkie flunderki, tłuściutkie, pierwsza klasa!

— Dwa guldeny²?! — zachnęła się klientka. — Za drogo! To rozbój w biały dzień!

— Z taką paniusią to ja bym chętnie dobił targu — wtrącił się mężczyzna wyglądający na miejscowego hultaja. Portki wisiały na nim luźno, a kapota była mocno poprzecierana na łokciach.

Korpulentna rybaczka pacnęła go w plecy.

— Powiedział król rysztoła, kreatura na kaczych łapach! — zawołała.

7 Wszyscy wokół parsknęli śmiechem, a mężczyzna skulił się i od razu wycofał.

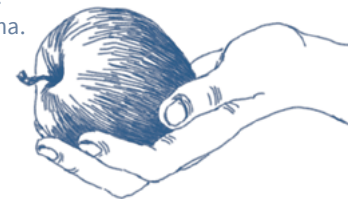
— Jak to „za drogo”?! — zaczęła znów przekrzykiwać wszystkich handlarka. — To może węgorzyka na zupkę? Za funt³ tylko jeden gulden osiemdziesiąt. Zupka będzie pierwszy sort.

Klientka pokręciła jednak głową z niezadowoleniem, co wprawiło rybaczkę w jeszcze większe zaciętrzewienie. Wykrzyzczała marudzącej „paniusi”, by kijanek na obiad nałowiła, skoro taka mądra.

¹ Flundra — flądra (wszystkie przypisy pochodzą od autorki).

² Guldeny — waluta w przedwojennym Gdańsku.

³ Funt — jednostka masy, około połowy kilograma.



Dzieci minęły kłócące się przekupki, bo na końcu gdańskiego Targu Rybnego, gdzie nie było żadnej balustrady broniącej dostępu do wody, siedziały ciasno jeden przy drugim różnego wieku wyrostki z wędkami. Byle jakie kije, kawałek sznurka i korek od butelki zmieniały ich w wędkarzy. Dawid pociągnął Klarę za rękaw, żeby przez chwilę popatrzeli. Chłopak w podziurawionej czapce wyciągnął właśnie na brzeg rybę długości swojej dłoni i teraz zawiął ją w gazetę. Obok niego inny młokos skrobał złowione przez siebie ryby. Dawid znał go ze szkoły, był w starszej klasie. Przywitał się więc, ale poczuł, że tym razem Klara szarpie go za koszulę.

— Chodź stąd, bo tu śmierdzi — szepnęła, a on z nią nie dyskutował. Odwrócił się i poszli w kierunku barierek, o które opierali się mężczyźni. Ojciec nazywał ich nadmotławskimi filozofami, co Dawidowi przypomniało się w tej chwili. Uśmiechnął się pod nosem, a potem przeniósł wzrok na tragarzy z wielkimi workami na plecach. Zauważył, że niektórzy z nich nie pracowali, tylko żuli tabakę i pluli przed siebie, pozostawiając na chodniku brunatnożółte ślady.

— Ble! — Klara się skrzywiła i ponownie pociągnęła kolegę za ubranie.

Znów biegli. Dwa warkocze podskakiwały dziewczynce na plecach. Kilka razy potrącili przechodniów, raz wpadli na marynarza, innym razem drogę zaszedł im gdański chuligan. Mężczyzna trzymał w ustach niedużą fajkę. Na głowie miał marynarską czapkę, a pod szyją chustę. Przez moment droczył

się z nimi i nie chciał ustąpić. Kiedy ktoś z boku krzyknął, by dał spokój dzieciarni, wreszcie ich przepuścił. Odszedł lekko, sprężystym krokiem, z gracją wyciągając w górę ręce i coś pokrzykując w zrozumiałym tylko dla siebie języku. W oddali słyhać było dźwięk sygnału karetki policyjnej, który odbijał się echem od kamienic, niosąc się po ulicach Wolnego Miasta Gdańska⁴.

Klara i Dawid rzucili się pędem przed siebie i o mało nie przewrócili matki z dzieckiem na rękę. Zwolnili dopiero w wąskiej uliczce. Tu od razu spostrzegli powiewające w oknach kamieniczek czerwone sztandary. Na każdym widniał czarny znak wpisany w białe koło. Klara poczuła ciarki na plecach. Od razu przypomniała sobie rozmowę mamy z dziadkiem. Mówili o zbliżającej się wojnie, a tata wciąż pokrzykiwał coś o żydowskiej zarazie.

— Gdzie idziemy? — spytał Dawid, spoglądając na dziewczynkę.

Klara zmarszczyła czoło i przygryzła wargę.

— Nie wiem... — Wzruszyła ramionami.

Nagle jej uwagę przykuło okno sutereny. Dostrzegła niewyraźne światło sączące się z wnętrza. Migotało tak, jakby zapraszało ich do środka.

— Zobacz, tam. — Wskazała palcem.

⁴ Wolne Miasto Gdańsk (niem. Freie Stadt Danzig) — państwo istniejące w latach 1920–1939.

Przeszli na drugą stronę brukowanej ulicy i stanęli przy niskim oknie kamieniczki. Trudno było dostrzec, co znajduje się w środku, ponieważ szybę oblepiało błoto. Dawid położył palec na ustach, a potem nachylił się i delikatnie przetarł szkło.

— Nic nie widać.

— Dostrzegam jakiś cień.

— Są tam ludzie?

— Jeden człowiek. Siedzi pochylony nad stołem.

— Może płacze?

— Nie wiem. Może coś knuje...

— Na drzwiach jest tabliczka — zauważyła Klara i podeszła bliżej. Na niedużej, pomalowanej na niebiesko blaszanej płytce widniał napis: „Pracownia introligatorska. S. Fogel”. Przeczytała go na głos. Nie zdążyła jednak skomentować, ponieważ niespodziewanie za jej plecami stanęła otyła kobieta. Wzięła się pod boki i zaczęła krzyczeć na ciekawskie dzieciaki, które uczciwym ludziom zakłócają spokój.

— Uciekać mi stąd! — krzyknęła. — Matka z ojcem pewnie smarkaczy szukają, a ci w cudze okna zagląдают. Zmykajcie! — Machnęła ręką, jakby odganiała natrętne muchy. — Sio!

Znów ruszyli pędem. Tym razem biegli w kierunku kamienicy, w której mieszkali.

Z daleka dostrzegli wóz zaprzężony w chudego gniadego konia. Klara zatrzymała się i otworzyła usta ze zdumienia. Ktoś się wyprowadzał! Szybko spojrzała na woźnicę, a potem na mężczyznę targającego wielką skrzynię.



— Dawid, poczekaj!

Chłopiec stanął. Klara powoli zbliżyła się do niego, cały czas obserwując to, co działo się przy wozie.

— Kto się wyprowadza?

— Leśniewscy — odpowiedział Dawid bez wahania. Z niepokojem spojrzał na Klarę.

Odkąd w mieście przybywało czerwonych sztandarów ze złowieszczym czarnym znakiem, rodzice coraz częściej mówili o wyjeździe. Chłopiec słyszał osiłków w brunatnych mundurach wykrzykujących: „Precz z Żydami i Polakami!”. Jego rodzina chodziła do synagogi, którą w maju tego roku zaczęto rozbierać. Już wcześniej informował o tym wielki napis przed wejściem, jakby niektórzy mieszkańcy Gdańska nie mogli się doczekać tego dnia. Urodę Dawid też odziedziczył po przodkach. Miał kruczoczarne włosy i oczy w kolorze węgla.

— Ale wy nie wyjedziecie? — spytała przestraszona Klara.

— Nigdy! — krzyknął.

Nie wyobrażał sobie, że mógłby wyjechać z Gdańska, i powtarzał to rodzicom, którzy co prawda przebąkiwali coś o przeprowadzce, ale na szczęście nigdy nie rozpoczęli realizacji tego planu. To tutaj był dom Dawida, jego rodziców i dziadków. Znał każdą uliczkę w okolicy, każdy kąt i kamień w bruku. Uwielbiał też Klarę, bez której nie wyobrażał sobie życia. Wychowali się razem. I choć na ich ulicy było mnóstwo dzieciaków w podobnym wieku, najbardziej lubił spędzać czas właśnie z Klarą. Miała piękne błękitne oczy i włosy przypominające kłosa żyta, zawsze starannie zaplecione w dwa warkoczki.

